Rok III. **Czwartek, dnia 17 lipca 1930.** **Nr. 54.**

Egzemplarz pojedyńczy 20 gr. Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Głos Ziemi Żywieckiej

Wychodzi dwa razy w tygodniu.

Niezależne Pismo Narodowe

„Kto Ojczyźnie służy, sam sobie służy." (Ks. P. Skarga.)

Redakcja czynna od 9-13. — Rękopisów nie zwracamy. — Za treść ogłoszeń Redakcja nie odpowiada.

Administracja czynna od g. 9—13 i 15—18.
Przedpłata miesięczna . . . . . . 2.50 zł

Redakcja i Administracja:
PKO 181.190 **Żywiec** PKO 181.190
ul. hr. Komorowskich Nr. 60.

CENY OGŁOSZEŃ:
w tekście red. m/m . . . . 60 gr
na I. stronie m/m . . . . 80 gr
(na stronicy 3-, wzgl. 6-łamowej)
Urzędowe 25% drożej. — Rabat wg. umowy.

AGENTURY OBCE A KRESY

Prof. St. Grabski w trzecim z cyklu artykułów o naszych ziemiach kresowych, ogłoszonym we „Lwow. Kur. Por.", podaje garść bardzo charakterystycznych faktów i spostrzeżeń z niedawnej przeszłości. Przypomina on naprzód, że **dzisiejsi przywódcy obozu sanacji:**

„w 1919 r. publicznie w Sejmie przestrzegali, by **„wojna aneksyjna"**, prowadzona w Galicji (jak nazwał wówczas min. Moraczewski obronę Lwowa), nie pozbawiła Polski sympatji demokratycznej Europy. I po zwycięskiej już wojnie z bolszewikami **sprzeciwiali się oni włączeniu ziemi** Wileńskiej do Polski — bo Anglja się temu sprzeciwia. W Lidze Narodów rozważano pomysł, by Polska oddała Wilno Litwie, a wzamian Litwa wejdzie w unję celną i militarną z Polską. A naczelne nasze dowództwo utworzyło wówczas zamiast województwa wileńskiego „Litwę Środkową", jak gdyby zapoczątkowanej przez Hymansa „Litwy dwukantonalnej".

Poczem prof. St. Grabski opowiada rzeczy ogółowi dotąd nieznane:

„Istotnie **poseł angielski** na kilka tygodni przed plebiscytem, który zadecydował wreszcie o inkorporacji Wileńszczyzny, **interwenjował trzykrotnie** w ministerstwie spraw zagranicznych i złożył notę werbalną, przestrzegającą przed zespoleniem Wilna z Polską. Ale, gdy wbrew tym przestrogom Wilno stało się stolicą zwykłego województwa polskiego — **Anglja pogodziła się z dokonanym faktem.**

Tak samo pogodziła się ona z naszą granicą wschodnią — pomimo, że w Rydze „wysoki komisarz angielski dla Estonji, Łotwy i Litwy" komunikował nieoficjalnie, **że rząd Wielkiej Brytanji będzie uważał posunięcie granicy polsko-bolszewickiej dalej na wschód od linji Bugu za akt nieprzyjazny.**

Odpowiedziałem mu prośbą, by zapytał się swego rządu, **wiele korpusów zapewni Wielka Brytanja Polsce dla ochrony projektowanej przez nią granicy.** I na tem się ów protest skończył.

A jeszcze wcześniej, w 1919 r., gdy wojska nasze po odparciu ukraińców od Lwowa, posuwały się naprzód i były między Złoczowem a Tarnopolem, **przedstawiciel Anglji w Warszawie zażądał zatrzymania naszej ofensywy**, grożąc w przeciwnym razie wstrzymaniem wyładowywania w Gdańsku zboża amerykańskiego dla Polski (a żyliśmy wówczas już tylko obcem zbożem).

Po konferencji, którą odbył premjer Paderewski z Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem Piłsudskim — poszły z Warszawy **rozkazy wstrzymania ruchu zaczepnego.** Zanim jednak doszły one na front, Tarnopol został oswobodzony od wojsk ukraińskich. W parę dni później przyszło do Polski **zlecenie marszałka Focha zajęcia Małopolski po Zbrucz, by zapobiec możliwej akcji bolszewickiej na Węgry.**

Fakty te i inne im podobne znają niewątpliwie zaufani marszałka Piłsudskiego."

Wreszcie prof. Grabski zwraca uwagę na rolę naszego M. S. Z.

„A od pierwszej chwili odzyskania niepodległości ministerstwo spraw zagranicznych narówni niemal z ministerstwem wojny **obsadzone zostało przez ludzi „Komendanta".**

Więc, zdawałoby się, przedewszystkiem z ministerstwem spraw zagranicznych powinnaby była iść zachęta do nieustępliwej, stanowczej polityki dokonanych faktów i **nieuznawania jakiegokolwiek mieszania się obcych potęg w wewnętrzne Polski sprawy.**

Tymczasem z ministerstwa tego szedł najsilniejszy nacisk przeciwko inkorporacji Wilna. I ulegając żądaniom jego w r. 1922, uchwalił Sejm ustawę o autonomji województw wschodnio-małopolskich. **Na szczęście jeno udało się w ostatniej chwili usunąć** z niej artykuł o ordynacji wyborczej do sejmików wojewódzkich i dzięki temu nie weszła ona w życie.

A za gabinetów Władysława Grabskiego i Aleksandra Skrzyńskiego z **ministerstwa spraw zagranicznych** szły ciągle do rady ministrów przedstawienia niebezpieczeństw, jakiemi pozycji międzynarodowej Polski groziłaby szybka likwidacja niemieckiej własności ziemskiej.

Za rządów zaś obecnej dyktatury, minister spraw zagranicznych zawarł z Niemcami umowę, którą likwidacji tej, zapewnionej traktatem Wersalskim, Rzplita **całkowicie się zrzeka.**"

Współdziałanie „piłsudczyzny" z agenturami obcemi w dziedzinie polityki kresowej **powinno być przedmiotem pilnej uwagi społeczeństwa.**



JOHN D. ROCKEFELLER,
91-letni słynny miljarder amerykański przy „torcie urodzinowym", ozdobionym 91 świecami.

„Jedynie nowy rozbiór Polski"

MOŻE ZASPOKOIĆ WZRASTAJĄCE APETYTY NIEMIEC.

W paryskim dzienniku „Action Francaise" Leon Daudet atakuje gwałtownie Sauerweina za jego artykuł w „Le Matin". Dowodzi on, że artykuł ten inspirowany był przez najbliższe otoczenie Brianda, w którem panuje wielka trwoga z powodu obecnej sytuacji międzynarodowej.

Sauerwein występuje z wyraźnemi awansami pod adresem Niemiec „gdzie słychać już pobrzękiwanie bronią. Czyni on im jak najdalej idące obietnice, jeżeli tylko nie zechcą rzucić się natychmiast **na Polskę albo na Alzację lub na obie razem.** W dalszym ciągu Leon Daudet poddaje szczegółowej analizie przedstawione przez Sauerweina korzyści, jakie odniosłyby Niemcy ze zbliżenia z Francją. Ułatwienie w spłacie odszkodowań, o których mowa w pierwszym ustępie, są niczem innem, jak okazaniem pomocy finansowej Niemcom, czyli kompletnem zniekształceniem prawdziwego znaczenia planu Younga, co do którego **naiwni ludzie przypuszczali, że ma on służyć jako gwarancja spłaty odszkodowań.**

Niemniej godnym uwagi jest ustęp, mówiący o powrocie do rozumnej organizacji wojskowej. Oznacza to poprostu zniesienie wojskowych zastrzeżeń Traktatu Wersalskiego i oczywiście powrót do armji niemieckiej z r. 1914, z całą jej świetną artylerją i awjacją. Lecz perłą prawdziwą, kończy „Action Francaise", jest ustęp o korytarzu pomorskim. O jakich możliwościach może być mowa, skoro idzie o zniesienie korytarza? **Jedynie nowy rozbiór Polski, o którym, być może, myśli już Briand, zdolny będzie zadowolić chciwość Niemiec, których apetyty zaostrzone zostały przez jadłospis, ułożony przez Sauerweina.**

Manewry jesienne Sanacji

NIEDORZECZNE PLANY „SPADKOBIERCY" P. PIŁSUDSKIEGO.

W dalszym ciągu swych rewelacyj o „Związku Orła Białego" donosi „ABC", że „Kapituła" tego Związku, oraz dowództwo „Związku Żołnierskiego Czynu" (na czele obydwu stoi ten sam „tajemniczy" osobnik gen. Rydz-Śmigły, uważający się podobno za spadkobiercę p. Piłsudskiego), ustaliły następujący plan akcji na jesień b. r. i do tej akcji obecnie się przygotowują:

„Pewnego dnia na jesieni, przy pomocy legalnych ekspozytur, zgromadzić olbrzymie tłumy w Warszawie. Projektuje się na ten dzień b. liczne zjazdy. Gdy tłumy wierne i zorganizowane zbiorą się na tych zjazdach, wytworzy się gorącą atmosferę, uchwali się mocne rezolucje i wielkim pochodem ruszy się pod siedziby „najwyższych czynników" w państwie z petycją, która będzie żądać dla „dobra państwa":

1. rozwiązania Sejmu i Senatu,
2. nierozpisywania nowych wyborów.
3. utworzenia drogą mianowania Rady Narodowej, któraby opracowała nową konstytucję i ordynację wyborczą,
4. oktrojowanie tej nowej konstytucji przez „najwyższe czynniki" w państwie,
5. utworzenie na ten czas nowego „silnego rządu".

Plan ten „uratowania sanacji" jest dość naiwny. Wszystkie „związki" i „federacje" sanacyjne są albo niesłychanie słabemi organizacjami, albo zwykłemi fikcjami i wszelkie ich proklamacje i „pronunciamenta" mogą tylko wywołać homeryczny śmiech w całej Polsce w połączeniu... z bolesną nauczką ze strony zorganizowanego społeczeństwa.

„Wydajcie nam posłów!"

NAPAD NA POSŁÓW W GŁĘBOKIEM. — OFICEROWIE W OBRONIE NAPADNIĘTYCH.

W nocy z 10 na 11 b. m. grupa podejrzanych indywiduów dokonała na stacji w Głębokiem napadu na pociąg, którym powracała grupa posłów, biorących udział **w agitacji przedwyborczej** na terenie powiatu święcińskiego (gdzie sanacja **straciła mandaty, zdobyte terorem** i oszustwem, tak, że Sąd Najwyższy wybory te unieważnił. W nowych wyborach sanacja wycofała **swe listy.**)

Napastnicy przetrząsnęli wagon I i II klasy, dopytując się o wicemarsz. Sejmu, posła Róga, a gdy go nie znaleźli, napadli posłów P. P. S.

Obecni w wagonie oficerowie wyrzucili napastników, przyczem jeden z oficerów wystrzelił na postrach. Pociąg ruszył w dalszą drogę, ale został zatrzymany przez policjanta, który zaczął dochodzenie, by ustalić sprawcę strzału. Ośmieliło to napastników, którzy znowu **zaatakowali wagon, domagając się wydania im posłów.** Kierownik pociągu dał sygnał odjazdu. Ze strony napastników posypały się z okna wagonu kamienie i zgniłe jaja. Nikogo nie zraniono; powalono jedynie bagaże i ubrania przygodnych pasażerów. Padł też **strzał w kierunku posłów.**

Trzy dni w M. Fatrze

NA SŁOWACZYŹNIE.

Tym razem wycieczka szkolna uczniów czwartej klasy gimnazjum matematyczno-przyrodniczego w Cieszynie. Tak z Równicy, jak z Baraniej w piękny dzień pogodny w stronie południowo-wschodniej dosyć w znacznej odległości widzimy imponujący szczyt poszarpanej, skalistej góry. Nie wszyscy wiedzą, że to Rosudec, mimo że nazwa ta dosyć jest popularną w języku amatorów turystyki. Rosudec jest rzeczywiście jedną z najpiękniejszych gór Małych Fatra na Słowaczyźnie i oryginalnym o tyle, że w przeciwieństwie do sąsiednich gór o charakterze czysto beskidzkim, przedstawia zwaliste skały dolomitowe, a dla turysty, względnie amatora, daje wiele czysto tatrzańskiej emocji.

Powyższemi kierowani pobudkami, wybraliśmy się do Fatra w dniach 4, 5 i 6 czerwca br. w liczbie 14, wliczając w to podpisanego jako kierownika wycieczki. Wsiadamy do pociągu w Czeskim Cieszynie o godzinie 7.40 rano. Barometr wykazuje zwyżkową tendencję, powietrze po wczorajszym deszczu czyste, pogoda ustalona. Mijamy kominy fabryk trzynieckich, przełęcz jabłonkowską, tunel, pociąg niesie nas wzdłuż koryta rzeki Kysuca, która wije się wśród malowniczych gór słowackich i pod Żyliną łączy się z majestatycznym Waagiem, przedzierającym się pod Streczem przez Małe Fatra, do których właśnie zmierzamy. Już w Cacy z okna wagonu poprzez otwartą dolinę Bystrzycy widzimy u jej kresu wyraźnie rysujący się szczyt Rosudca. Po raz wtóry powtarza się ten wspaniały widok pod Żyliną. Godzina 11, wysiadamy we Varin. Doliną potoku Varinka dostajemy się autobusem po godzinnej niespełna podróży do Tyerhovy, wioski górskiej, położonej tuż u stóp gór Sokolje z jednej a Bobotów z drugiej strony. Tu kończy się dotychczasowa jazda, a zaczyna właściwa turystyka. Zatrzymujemy się na chwilę we wiosce, nawiązujemy rozmowę z miejscową ludnością, przyglądamy się bliżej tamtejszym stosunkom, dowiadujemy się, że u niejakiego Vojtka jest prymitywnie urządzony dom wycieczkowy z kilkunastoma łóżkami dla turystów. Uczniowie moi powiadają mi, że język tamtejszej ludności łatwiejszym jest do zrozumienia niż czeski, że ludność tamtejsza odnosi się do nas bardzo życzliwie i serdecznie. Nie zatrzymujemy się jednak dłużej, bo ciągnie nas malowniczy przełom Vratna, z jego fantastycznemi skałami i coraz to nowe cuda przyrody. Górski potok, płynący gdzieś z pod Wielkiego Krywania, z szumem przedziera się między skaliste góry Sokolje i Boboty. Zatrzymujemy się i badamy... Oko zachwyca się fantastycznością skał: tu mnich zaklęty ze złożonemi do modlitwy rękami, tam śpiący rycerze, ówdzie ogromne smoki i płazy olbrzymie, wynurzające się z fal, wyżej u szczytów orły skalne, skamieniali górali i t. d. i t. d. Trudno oko oderwać, bo coraz to nowe odkrycia, a wszystko jakby zaklęte, skamieniałe, śpi snem wieczystym, jeno krywaniowy potok, jedyny żywy świadek i ząb czasu pisze historję dla tych, którzy tamtędy kierują swe kroki. Zabieramy ze sobą na pamiątkę kilka ładnych zdjęć fotograficznych, pełni jednak obawy, zali zaklęte duchy uroczyska nie zechcą wzorem Tutankhamena wywrzeć zemsty na żądnych wrażeń śmiałkach. Budzimy się, ruszamy potokiem wgórę. Mijamy przełom, przed nami otwiera się piękna dolina-kocieł, otoczona zewsząd górami, na dnie którego widnieje leśniczówka, cel naszej wycieczki w dniu pierwszym. Wieniec gór, opasujących dolinę, od prawej strony zaczynając, nosi następujące nazwy: skaliste i fantastyczne, Sokolje, Baraniarki, Wielki Krywań, dalej na lewo Hleb, Hromove, Steny, Mały i Wielki Stoh, majestatyczny Rosudec, wreszcie skaliste Boboty, łączące się przez przełom z górami Sokolje. Idziemy w stronę leśniczówki Stary Majer. Po kilkunastu minutach drogi jesteśmy na moście potoku Stohovy, łączącego się opodal ze swym podkrywańskim bliźniakiem i nagle stajemy jak wryci: z nowej doliny na tle jak kryształ nieba ukazuje się oczom naszym groźny i majestatyczny Rosudec, ginący skalistemi zygzakami w lazurze niebios. Zabiło serce z radości i upojenia, że jutro raniutko pomnikiemy po tych skałach, których nasze Beskidy nie posiadają, jak zresztą niewiele ich jest w fatrzańskich górach sąsiednich. Oderwawszy oko od Rosudeca, zmierzamy do naszej głównej kwatery, miejsca operacyjnego dalszych dwóch dni wycieczki. Po kilkunastu minutach rozbijamy namiot... pod dachem gościnnego Słowaka, leśniczego Meszki. Jest godzina pierwsza i pół po południu. Wśród ciszy, zieleni lasów, szumu potoku, gry barw skalnych Sokolje i Bobotów niebardzo chce się jeść; wchodzi jednak i to na porządek dzienny i tak kończy się pierwszy etap wycieczki. Gospodarz Meszko oddaje nam dużą izbę do dyspozycji, jesteśmy jak w domu. Pozostajemy tu przez dwa dni. Żona leśniczego, sympatyczna Słowaczka, wnosi garnek mleka i powiada: to 10 litrów, a jak tych zabraknie, to znowu będzie dziesięć. W mgnieniu oka ginie jeden, drugi, na trzecim zatrzymujemy się już...

(C. d. n.) JAN MADEJ.

WARMJA I MAZURY

11 lipca b. r. minęło dziesięć lat od pamiętnego plebiscytu na Warmji i Mazurach Pruskich.

Były to chwile wyjątkowo ciężkie w życiu odrodzonej Polski, naród zmagał się z inwazją bolszewicką, wróg, zmierzywszy ogniem i mieczem olbrzymie połacie kraju, stanął pod murami Warszawy, a niechętne Polsce czynniki międzynarodowe, wykorzystywały chwilową naszą słabość, celem pomniejszenia pomyślnych dla nas wyników kongresu pokojowego.

Gotując się do ostatecznej rozprawy z najazdem, nie mogliśmy bronić skutecznie naszych praw na terenach plebiscytowych i włożyć w sprawę uświadomienia ludności tyle energji i wysiłku, ile tego wymagały trudne okoliczności i doniosłość zadania. I oto, kiedy na przedpolu Warszawy, walcząc o niepodległość, osłanialiśmy Europę przed falą czerwonej rewolucji, na naszych granicach zachodnich zabrano nam prastare ziemie polskie, pozorując ten gwałt komedją rzekomo wolnego plebiscytu.

Jeszcze przed przyjazdem komisji aljanckiej na Warmję i Mazury, „Heimatdienst" i „Bund" Mazurów i „armlaenderów" przygotowywały za

pomocą krwawych gwałtów i teroru teren do pracy plebiscytowej.

„Wysoka komisja" aljancka, przybywszy w lutym 1920 r., pozostawiła całą administrację kraju w rękach dotychczasowych urzędników pruskich i zleciła Reichswehrze pilnować porządku i bezpieczeństwa. Nikłe siły aljantów, złożone z sześciu batalionów angielsko-włoskich, w liczbie 1200 ludzi, nie mogły zapewnić ludności 2000 gmin rzeczywistej swobody agitacji i wyrażenia swojej woli. To też ciągłe pogromy Polaków nietylko nie ustały, ale wzmogły się na sile, uniemożliwiając wszelką akcję organizacyjną i agitacyjną.

Zważywszy, że ludność ziemi Warmińskiej i Malborskiej blisko 700 lat znajdowała się pod władzą krzyżacką i pruską i była systematycznie niemczona przez kościół, urząd i szkoły, żądaliśmy przeprowadzenia plebiscytu dopiero po paru latach, jednakowoż „Wysoka komisja" przychyliła się do życzenia Niemców i wyznaczyła głosowanie po upływie pięciu miesięcy. Było jasnem, do czego komisja zmierza i jakich wyników plebiscytu oczekuje, to też Polacy zagrozili wstrzymaniem się od udziału w głosowaniu i porzucili to stanowisko jedynie pod silną presją aljantów.

Wreszcie 11 lipca, niemal w przeddzień sławnej bitwy warszawskiej, kiedy połowa Polski zalana była wojskiem bolszewickiem, odbył się plebiscyt na Warmji i Mazurach. Była to bolesna komedja plebiscytu, na którą ludność polska patrzyła bezradnie, nie mogąc pod grozą utraty życia i mienia wypowiedzieć swojej woli i dać prawdziwe świadectwo swojej narodowości. Prastara ziemia polska z 350.000 polskiej ludności, pozostała nadal pod uciskiem i panowaniem pruskiem, znosząc krwawy odwet, jaki wzięli Niemcy na tych, którzy pomimo gwałtu i groźby poszli do urn i głosowali za Polską.

Plebiscyt na Warmji i Mazurach nie zmienia faktu, że ziemie te są odwiecznie polskie i że prawa historyczne i etnograficzne do nich są po naszej stronie.

Ta żywa moralna łączność wzmaga się nieustannie i potężnieje w naszych sumieniach w miarę, jak Niemcy czynią coraz nowe wysiłki, celem ich wynarodowienia.

To powszechne szczere uczucie jest najlepszą rękojmią tego, że sprawa zakordonowych Polaków nie zniknie ze świadomości polskiej tak długo, dopóki nie zostanie rozwiązana w duchu sprawiedliwości dziejowej i praw narodu polskiego.

Przygoda morska Sokołów

NA ADRJATYKU. — SZCZEGÓŁY ROZBICIA OKRĘTU „KARADŻORDŻE".

Prasę polską obiegały w tych dniach pogłoski dość niejasne i niedokładne o katastrofie morskiej, jakiej ulegli nasi Sokoli na Adrjatyku. Po powrocie do Warszawy kierownik wycieczki Sokołów polskich po Adrjatyku, p. Jan Rudnicki, b. poseł, podał garść szczegółów, dotyczących tej przygody.

Było to w sobotę, 5. b. m. Sokoli polscy, bawiący na złocie w Jugosławji, wybrali się w liczbie około 120 na wycieczkę po Adrjatyku. Wyruszyliśmy około 6 pp. ze Splitu, portu jugosłowiańskiego, na jugosłowiańskim statku „Karadżordże" o nośności około 1.800 tonn. Przy pięknej pogodzie do północy siedzieliśmy na pokładzie, poczem część z nas zeszła do kajut.

Gdy leżeliśmy w łóżkach (była godzina przed 2-gą w nocy), **wstrząs tak gwałtowny targnął statkiem, że pospadaliśmy z łóżek.** O sile tego wstrząsu świadczy fakt, że jeden z nas, p. Grudziński, po wyrzuceniu z łóżka przekoziołkował się parę razy i poturbował. Zaraz po wstrząśnieniu usłyszeliśmy jakieś przerażone okrzyki. Rozumieliśmy, że jesteśmy w obliczu katastrofy. Zerwałem się, pobiegłem na pokład na drugą stronę i trafiłem jeszcze na chwilę, kiedy z wgniecionego boku okrętu wylatywały jakieś przedmioty w morze. Ktoś krzyczał rozpaczliwie po czesku, że „Mania wpadła do morza" (nie potwierdził się ten alarm), na pokładzie leżał jakiś jugosłowianin, którego twarz, straszliwie poraniona, ociekała krwią. Sokoli nasi pierwsi okazali pomoc nieszczęśliwemu. Nerwy rozstrajał stan oświetlenia: ledwo, ledwo zaczynało szarzeć.

Okręt przechylił się na bok. Zewsząd brzmiały okrzyki, że toniemy. Ludzie rzucili się do kół ratunkowych. Nasi Sokoli wzięli koła sokolicom, a sami, z uwagi na brak tych przyrządów ratowniczych, zdejmowali spokojnie ubrania, gotowa skakać do wody bez podpór z korka i gumy.

W tej sytuacji spostrzegliśmy, że okręt drgnął. Maszyny zaczęły pracować. Pochylony parowiec zaczął sunąć całą siłą pary w nieznanym kierunku. Zrozumiałem, że kapitan okrętu Iwo Prodano, o którym mówiono mi, że jest jednym z najdzielniejszych marynarzy jugosłowiańskich, powziął jakiś plan.

Zbiegłem pod pokład. Nasze kabiny były po prawej stronie. Lewa strona, w którą uderzył statek włoski, napełniała się wodą. Część kabin z tamtej strony ledwo udało się otworzyć. Wbiegłem do kajuty po pieniądze, papiery, niezbędne przedmioty. Jednocześnie ostrzegałem znajomych o niebezpieczeństwie znajdowania się pod pokładem.

Tymczasem statkiem szarpnął drugi wstrząs, a za chwilę zgasły światła i pod pokładem zapanowały nieprzeniknione ciemności. Ten drugi wstrząs jednak nie był przypadkowy: to kapitan wepchnął „Karadżordża" na mieliznę. Otucha jakaś wstąpiła w serca; chociaż nie byliśmy na głębinie.

Krótko, staliśmy. Z dali ukazało się światło: płynął ku nam jakiś okręt. Oko jego reflektora ciągle utkwione było w „Karadżordża". Za chwilę zatrzymał się. Czekaliśmy dłuższy czas, zanim do uszu naszych doszedł plusk wioseł szalup ratowniczych, a niebawem z szarego brzasku poranka wyłoniły się sylwetki łodzi. Okazało się, że z okrętu „Francesco Morosini", tego okrętu, który dziobem huknął w bok „Karadżordża", przybywają ratownicy. Na dolnym pomoście, skąd można było siadać do łodzi, zrobił się nieopisany ścisk. Jednak prawo morskie musi być zachowane: obsługa okrętu pozwalała siadać tylko kobietom i dzieciom. W przestrzeganiu tego prawa staraliśmy się pomagać z całej mocy. Napór był wielki. Okrzyk Włochów „piano, piano" (wolno) nie ustawał. Jakiś marynarz spytał mnie o narodowość. „Polacco" — odrzekłem. To zdecydowało o tem, że za chwilę znalazłem się na dnie łodzi, wciągnięty przez Włocha.

Wszyscy zostali uratowani wraz z załogą. Prócz 5 osób, oczywiście które postradały życie w katastrofie (3 podróżnych, w tem jedno dziecko i 2 marynarzy).

Z pośród Sokołów Polskich ranni zostali: p. Grudziński z Warszawy i p. Baranek z Katowic.

Na statku włoskim dopiero lekarz dokonał opatrunku ciężko rannych.

Sokoli nasi sprawdzili zaraz stan ludzi. Nikogo z nas nie brakowało. Z Zadaru przyjechały dwie kanonierki. Niebawem ruszyliśmy, ostatnim rzutem oka żegnając nasz statek, żałośnie pochylony na bok na morskiej mieliźnie.

Przyjechaliśmy do Zadaru. Tłum włoski odepchnięto od portu. Admiralicja włoska zarządziła natychmiast transport rannych do szpitali. Przesłano depesze od rozbitków.

Tymczasem na statku udzielono nam bezpłatnie wszelkiej pomocy i nakarmiono. Potem stateczkami jugosłowiańskiemi, które po nas przyjechały, przybyliśmy do Szuszaku. Przez Zagrzeb (serdecznie goszczeni przez tamtejszych Sokołów) udaliśmy się przez Wiedeń do kraju.

Instytucje jugosłowiańskie przyszły Sokołom z pomocą, zaopatrując ich na podróż. Tym, którzy stracili rzeczy i pieniądze, dano po 300 do 400 dynarów i konieczną garderobę.

Jedno podkreślić pragnę z dumą: Sokoli nasi zachowali w ciężkim momencie odwagę, spokój ducha i szybką orjentację w niesieniu pomocy potrzebującym.

LISTY Z PODRÓŻY.

„DZIEŃ BEZ ŚWIATŁA W OKU."

Maj i czerwiec, upały nie do zniesienia; miesiące bez kropli deszczu. Marzenia ogólne, aby opuścić miasto i wyjechać daleko tam, gdzie fale mórz pieszczą językami swemi rozpalone piaski plaż, miecąc przytem na brzegi cenne bursztyny, perły i korale. Lipiec, miesiąc zbawienia; walizy dawno spakowane; jazda!... Ale ta jazda okropna. Tłok w wagonach i korytarzach wagonów straszny. Walizy i kufry piętrzą się pod sam nos wojażerom; nietylko leżeć lub siedzieć — nogą ruszyć nie można. Tak przechodzi bezsenna noc... Nic to, każdy żywi nadzieję, że już po południu wypocznie na plaży. Ale, że wszystko na świecie ma swój koniec, przeto i upały wypaliły się narazie, a Bałtyk darzy nas, w swej, znanej nam zresztą ogólnie, kapryśności, wiatrem, nawet deszczem. Prawda, że Bałtyk już sam w sobie piękny przez swój ustawiczny niepokój, przez zawrotną szybkość wyżerania dna, a zasypywania niedawnych głębin, przez cudną grę barw od błękitnej przez jasno zieloną, aż do, rzecby można, granatowej, przez swój huk nieustanny; jest tem piękniejszy, ba, pociągający w czasie wichru i burz! No, ale letnik przybył tu zdala, aby się kąpać i pławić w zwałach słonych wód morskich; aby prażyć się w słońcu na pięknej i szerokiej, ale i dobrze ogrzanej plaży morskiej! Tymczasem plaża zimna, nie przyhołubi nikogo, a północny wiatr straszy podwójnie, bo i chłodem swoim i spienionemi przez siebie mocno bałwanami.

Jedyna rada, poniechać narazie plaży i kąpieli; robić nadmorskie wycieczki. Z Helu pierwszym celem: Gdynia. Tu rozmach w rozbudowie i doskonaleniu urządzeń imponujący i z każdym dniem walący naprzód. Dzień od rana bez słońca, właśnie nadciąga chmura, trzeba coś na prędce przetrącić przy bufecie i na molo, aby jeszcze przed deszczem oglądnąć z motorówki gdyński port wojenny, a następnie dostać się okrętem do Helu. Ale już na molo deszcz rzęsisty spłukuje z człeka wszelką radość i nie bawią go ani tysięczne wycieczki z kraju i zagranicy, nie bawi go cała plejada różnych statków, jak „Lwów" i „Dar Pomorza", jak zwinna i cacana „Wanda", mniejsza od niej „Jadwiga" i zębata „Hanka", nie cieszy wielki i poważny „Gdańsk" krzykiem groźnym swojej syreny zwiastujący zawijanie do portu.

Ale i deszcz ustaje. Wypatrujemy motorówek. Po porcie wojennym obwożą ochotników: „Zosia" i „Syrena". Łódki staruszki na 6 osób. Na „Zosi" trwa zaznajamianie się z portem godzinę, na „Syrenie" 45 minut. Nadjeżdża z trzaskiem „Syrena". Wsiadamy. Czterech mężczyzn, jedna niewiasta i motorowy — wilk morski. Ruszamy. Z deszczem nie ustąpił jednak wiatr, a ten rzuca łódką po falach na 30 metrową głębinę, jak łupinkę orzecha. Deszcz zgóry nie pada, ale tworzy go za to łódź sama, bo rozbijane fale zalewają nas poprostu potopem. Z początku chronimy się i zasłaniamy, ale skoro mimo to przemokliśmy do najtajniejszych i najwstydliwszych skrytek; — dajemy za wygraną i ze śmiechem szubienicznym poddajemy się brygzaniu fal. Niewiasta nam przeduje.

Wracamy na czas. Wsiadamy na „Gdańsk" zupełnie mokrzy, aż kapie, aby tu, na pokładzie, poddać się nowej, naturalnej chłoście deszczowej, płynącej bardzo obficie z nieba. Statek nabity ludźmi. Niektórzy kryją się do kajut; nierozważni. Czatuje tam choroba morska przy dzióbie i rafie okrętu. Wychodzą na pokład bladzi, jak z krzyża zdjęci. Ale i tu dziesiątkuje wycieczkowiczów choroba. Popijanie alkoholu, gryzienie cytryn. Zawijamy do Helu. „Gdańsk" posuwa się z wiatrem, już, już ma uderzyć o stojący w przystani kuter, panika na okręcie, majtki zatrzymują jednak okręt na czas. Deszcze ustał. Ale zato fale przewalają się przez molo i zalewają uciekających bardzo gęstym tuszem. Zdążając na stację, mokniemy znowu w ulewie, a tłoczący się u kasy oglądają przez okienko golącego się z zimną krwią p. kasjera.

I tak przeszedł na przemiany dzień chłodny i słotny bez jednego promyka światła i radości.

Chałupy, w lipcu 1930. M.

P. S. W następnej korespondencji opiszę dzień że światłem w oku", poczem wycieczkę do Stockholmu.

Życzyćby należało, aby jak największa ilość nauczycielstwa polskiego poszła za przykładem nauczycieli siedleckich i systematycznie tanim kosztem zwiedzała kraj — piękny i bogaty, od morza do Karpat.

— **Rezerwiści i b. wojskowi organizują się.** 20. b. m. o godz. 10 w sali „Pod Jeleniem" w Cieszynie odbędzie się zebranie organizacyjne rezerwistów i in. b. wojskowych. Przybędzie referent z Katowic.

— **Przedłużenie okresu zasiłkowego dla bezrobotnych.** Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej zarządziło, aby dla tych bezrobotnych robotników, którzy do dnia 31 lipca b. r. włącznie wyczerpią zasiłki z Funduszu Bezrobocia na okres 13 tygodni, przedłużono okres ten do 17 tygodni.

Zarządzenie obejmuje m. Warszawę oraz województwo warszawskie, śląskie i krakowskie na całym ich terenie.

— **Śmierć na drodze do kościoła.** Mieszkaniec Lipnika, 24-letni Tomasz Dyczek, idąc do kościoła, upadł na drodze i zmarł nagle, prawdopodobnie na udar serca.

— **Kto zgubił w Białej pieniądze?** W obrębie miasta Białej znaleziono pugilares z pieniądzmi, który odebrać można w kancelarji Magistratu.

— **Średnia Szkoła Ogrodnicza Koedukacyjna** w Białej przyjmuje zgłoszenia na rok szkolny 1930-31. Dla zamiejscowych internat. Ilość miejsc ograniczona.

PONURY BILANS.

Do jednego z pism opozycyjnych dodano jako załącznik broszurę p. t. „Co dobrego przyniosły Polsce rządy Józefa Piłsudskiego. Kraków 1930."

Po tytule następuje 10 stron... zupełnie pustych. **Białe karty są odpowiedzią na pytanie w tytule.**

CIEKAWA KSIĄŻKA

„Nieunikniona wojna mocarstw zachodnich przeciw Unji Sowietów. — Pogrom Bolszewizmu przez zjednoczoną Europę."

Pod tym tytułem ukazała się w tych dniach na półkach księgarskich i w kioskach **„Ruchu" arcyciekawa książka, przedstawiająca plan zwalczenia Bolszewji i wyrżnięcia tego wrzodu na ciele Europy. Cena arcyprzystępna zł 2.50.**

Kto interesuje się sprawami społeczno-gospodarczemi i politycznemi, kogo obchodzą losy naszego państwa, — ten stanowczo powinien się zapoznać z treścią książki, żywo omawianej w całej zachodniej Europie.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

— **202.902.** Według danych Państwowego Urzędu Pośrednictwa Pracy stan bezrobotnych na dzień 5 lipca b. r. wynosił 202.902 osoby.

— **Stanowisko klubów antysanacyjnych Sejmu Śląskiego.** Pod przewodnictwem marszałka sejmu śląskiego p. Wolnego odbyło się posiedzenie konwentu senjorów, celem zajęcia stanowiska wobe codroczenia sesji sejmu śląskiego.

Marszałek Wolny oświadczył na wstępie, że **p. wojewoda Grażyński dąży do porozumienia się z klubami w sprawie konfliktu budżetowego.** Po osiągnięciu porozumienia mogłaby być zwołana sesja Sejmu.

Przedstawiciele opozycji w swych oświadczeniach podtrzymywali swe negatywne stanowisko, obstając nadal przy żądaniu prawa kontroli gospodarki budżetowej.

— **Wycieczka krajoznawcza nauczycieli siedleckich na Śląsku i w Małopolsce.** W dniu 2 lipca b. r. wyruszyła z Siedla na rowerach grupa nauczycieli szkół powszechnych na wycieczkę krajoznawczą do Zagłębia Dąbrowskiego, Cieszyna, Krakowa i Zakopanego. Udział w wycieczce wzięli pp. Hipolit Popowski (kierownik wycieczki) oraz Tadeusz Duński, Antoni Księżopolski i D. Kołtun.

Wycieczka ta w dniu wczorajszym dotarła do Cieszyna po przebyciu 660 km i po zwiedzeniu Czerska, Spały, Łodzi, Częstochowy, Dąbr. Górn. i Katowic. Z Cieszyna wyruszyła do Zakopanego.

Wycieczkę powyższą zorganizował Związek Pol. Naucz. Szkół powszechnych w Siedlcach. W roku ub. zorganizował oddział ten podobną wycieczkę do Bałtyku.

— **Ś. p. Masny.** W Zadzielu zmarł nagle na udar serca naczelnik Straży Pożarnej i jeden z czynnych oraz ogólnie szanowanych obywateli gminy ś. p. Masny.

Śmierć młodego a zasłużongeo obywatela wywołała ogólny żal, to też pogrzeb zgromadził tłumy ludności z Zadziela i okolicy. Za trumną postępowały liczne delegacje straży pożarnych.

Cześć pamięci zacnego Obywatela!

— **Kradzież w kościele św. Krzyża w Żywcu. — Uczeń gimnazjalnym świętokradcą.** Od dłuższego już czasu służba kościoła św. Krzyża w Żywcu stała przed dziwną zagadką, jakim sposobem „ulatniają" się składki ze skarbonki kościelnej. W niedzielę, 13. b. m. kościelny p. W. Wnętrzycki, chcąc zbadać tę „tajemnicę", schował się po skończonem nabożeństwie na chórze, skąd obserwował, czy domniemany sprawca nie przyjdzie. Udało mu się rzeczywiście przytrzymać złodziejaszka na gorącym uczynku. Jest nim... uczeń czwartej klasy gimnazjalnej niejaki L. z Żywca, który podrobionym kluczem od roku już dobierał się do skarbonki, zabierając co pewien czas część pieniędzy, nigdy wszystkie.

— **15-letni... żonkoś.** W ubiegłym tygodniu koczującą na terytorjum Żywca banda cyganów wyprawiała przy dźwiękach hucznej muzyki i obfitem „zakrapianiu" przez dwa dni wesele młodej, zbyt młodej, parze.

Nie byłoby w tem nic dziwnego, gdyby nie to, że „pan młody" liczył „już" 15 wiosen, zaś „panna młoda" lat 18. Rzecz zrozumiała, że ks. proboszcz odmówił udzielenia ślubu. Mimo to młody cygan prawem cygańskiem został żonkosiem, zaś na legalizację prawno-kościelną swego małżeństwa czekać będzie musiał jeszcze dość długo, dłużej niż potrwają „miodowe miesiące".

Czy jesteś już członkiem L. O. P. P.?

Wydawca: „Śląsko-Małopolskie Tow. Wydawnicze" w Cieszynie. — Za Redakcję i Wydawn. odpowiada: red. Józef Biegański, Cieszyn. — Druk. „Dziedzictwa" w Cieszynie.